

Moje spotkanie z Bogiem

Świadeństwo nawróconego księdza

Guida Scalziego



Nasz rodzinny dom w Mesoraca stał w niewielkiej osadzie zwanej Filippa, położonej w sąsiedztwie klasztoru Franciszkanów, usytuowanego na szczycie malowniczego wzgórza. Tam właśnie chadzałem na mszę.

Uniesienie i klasztor

Jednego poranka wzruszyłem się szczególnie głęboko na dźwięk kościelnych organów - budziła się akurat wiosna, a ja czułem powiew czegoś, co nowe i nieznane. Zrodziła się we mnie niezwykła tęsknota, uczucie wydające się sięgać głębin duszy. Pomyślałem, jak cudnie byłoby spędzić resztę życia w klasztorze, w jedności z Bogiem i przyrodą. Gdy matka wracała z kościoła, wyszedłem jej naprzeciw wołając: „Mamo! Jak by to było dobrze, gdybym został księdzem!” Była wniebowzięta- i to mało powiedziane! Jej szczęście rośło w następnych dniach, gdy upewniałem ją, że coraz bardziej utwierdzam się w tym, co uznałem za Boże powołanie.

Przekonałem mamę, żeby poszła ze mną do klasztoru porozmawiać z ojcem przełożonym. Ojciec przełożony wydał się usatysfakcjonowany powagą moich zamiarów i oznajmił matce, że któregoś dnia na pewno zostanę kapłanem.

W końcu dyrektor seminarium franciszkańskiego, zwanego „Uczelnią Serafińską”, przyjął mnie do swojej szkoły. 28 września 1928 roku rozstałem się z rodziną i w towarzystwie ojca Carla pojechałem do seminarium, do prowincji Cosenza.

Lód zamiast mydła, religijność miast miłości

Podczas podróży myśli wędrowały ku najbliższym, których opuściłem. Później po kryjomu często ocierałem łzy płynące mi po policzkach. Pierwsze dni w seminarium minęły w pośpiechu i zamieszaniu. Przybywali nowi i zrobił się bałagan, bo nie każdy chłopiec umiał prędko przystosować się do rygorów nowego życia, tak różnego od dotychczasowej swobody. Gdy nadeszła zima, dokuczały mi odmrożenia, grypa i inne dolegliwości. Szkoła nie była ogrzewana. Z samego rana na dźwięk dzwonka przemierzaliśmy otwarty dziedziniec, by obmyć twarze przy studni, bo bieżącej wody nie było. Woda zamarzała w miskach, tak że trzeba było rozbijać lód; lodu używaliśmy zresztą jako mydła. Bywało, że dopiero po dwu, trzech dniach odważaliśmy się na kolejną toaletę twarzy.

Ciężkie to było życie. Zimno działało zniechęcająco, mój zapał stygł z dnia na dzień. Usiłowałem przezwycięzać te trudności, a jednak coraz bardziej zamykałem się w sobie. Ze zdumieniem zauważałem, że mimowolnie uderzam w płacz. W takich chwilach nikt nie umiał mnie pocieszyć. Jednego razu ojciec Carlo, zdenerwowany moimi „fochami”, podszedł i zaczął mnie bić dłońmi, potem pięściami, a w końcu kopać. Muszę przyznać, że bezlitosne ciosy osiągnęły zamierzony cel: Postanowiłem, że przebrnę przez to seminaryjne życie, nawet jeśli by miało stać się jeszcze okropniejsze.

„Brat Szczęśliwy”

Szybko nauczyłem się, że nie mogę ufać nikomu i że nie istnieje nikt taki jak przyjaciel. Wydawało się, że szpieg stoi za każdym rogiem. Z pierwszych czterech lat seminarium nie pozostało mi wiele wspomnień.

We wrześniu 1932 roku wyjechałem do klasztoru, gdzie spędziłem rok w nowicjacie. Według reguły nowicjatu Zakonu Braci Mniejszych św. Franciszka w dniu wstąpienia do zakonu otrzymuje się nowe imię. Od tamtej pory znano mnie zatem jako „brata Felice” (czyli „Szczęśliwego”). Do dziś pamiętam straszliwą nudę męczącą nowicjuszy. Wynikała z wymuszonego próżnowania spowodowanego sztucznie wytworzoną samotnością. Mimo że nowicjusze to ludzie mający wzrastać w poznaniu dróg Bożych, to w rzeczywistości patrzą na siebie spode łba, zazdrośni o drobnostki, gotowi do kłótni i obelg.

Bolesne rozczarowanie

Rok w nowicjacie zakończył się 4 października 1933 roku obrzędem ślubów zwykłych. 7 lipca 1940 roku przyjąłem święcenia kapłańskie. Gratulacje złożył mi biskup, przełożeni i obecni przy ceremonii księża. Byłem szczęśliwy i nad wyraz radosny. W końcu przecież zostałem księdzem. Jednakże podczas pierwszej odprawianej przez siebie mszy czułem się jak oszust, jak aktor w roli, do której mnie przypisano. Nie było we mnie radości ani zadowolenia. Gdzież podziła się ta obecność Boża, którą - jak mi obiecywano - miałem się namacalnie rozkoszować każdego dnia? Była to czcza formalność, tylko pustka.

Po kilku latach w klasztorze św. Franciszka z Asyżu, gdzie uczyłem włoskiego, historii, geografii i religii na poziomie gimnazjum, przenieśliem się do klasztoru w Bisignane (Cosenza), a potem do Reggio Calabria. Tam właśnie pierwszy raz spotkałem chrześcijan ewangelikalnych.

Źródło wody żywej

Gdy 15 sierpnia 1945 roku mijałem Ewangelikalny Kościół Baptistyczny w Reggio Calabria, naszała mnie chęć spotkania się z pastorem. Jednego więc dnia zdobyłem się na odwagę i napisałem do niego list z prośbą o spotkanie. „Proszę bardzo, z przyjemnością zobaczę się z księdzem w dogodnym terminie” - odpowiedział Salvatore Tortorelli. Podczas rozmowy zachęcił mnie do czytania Biblii. „Proszę czytać z otwartym sercem i bez odgórných uprzedzeń” - poradził.

Po powrocie do klasztoru zabrałem się do lektury włoskiego przekładu Pisma Świętego. Dla mojego ducha i duszy było to jak źródło wody dla spragnionego, przejrzenie dla ślepcy. Każda stronica przynosiła niespodzianki i nowe światło, jak gdyby ktoś otworzył okna w ponurym więzieniu. „Jak to możliwe?” - mówiłem sam do siebie. - „Jak to możliwe, że przeżyłem tyle lat nic nie wiedząc o tych wspaniałościach?” Pewnego dnia zwierzyłem się ze swych przeżyć pastorowi Tortorellemu. „To Pan cię wzywa, abyś zerwał z kłamstwem. Zostaw wszystko i nawróć się na Ewangelię Jezusa Chrystusa”.

Przed opuszczeniem klasztoru powstrzymywały mnie jednak dwie sprawy. Po pierwsze, bałem się piętna osoby wzgardzonej, księdza pozbawionego godności kapłańskiej. Po drugie, lękałem się wejścia w nieznaną świat bez

żadnego zabezpieczenia, pracy. To ostatnie było szczególnie ważne, gdyż artykuł 5 konkordatu zawartego przez państwo włoskie z Watykanem zabraniał zatrudniania byłych księży. W takiej sytuacji nie potrafiłem się zdecydować na opuszczenie zakonu.

„Jezus chce cię zbawić”

Niebawem przeniesiono mnie do klasztoru w Staletti. Idąc raz ulicą, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się i ujrzałem, że jakiś chłop daje mi znaki.

- Chciałem przekazać pozdrowienia od pastora baptystów z Reggio Calabria. Byłem tam w zeszłym tygodniu, i powiedział mi, że jest u nas teraz ksiądz Guido Scalzi, który sympatyzuje z chrześcijaństwem ewangelikalnym.

Wyjaśnił, że należy do wspólnoty w pobliskiej Gasperinie, sześć kilometrów od Staletti, a jego pastor Domenico Fulginiti chciałby się ze mną spotkać. Odparłem, że z radością przyjdę.

Spotkanie nastąpiło po paru dniach. Wieczorem poszedłem pod wskazany adres. Dom był niewielki i skromnie urządzone, typowe domostwo kalabryjskich wieśniaków: stół, parę krzeseł, piec, przy nim blachy piekarskie i dwa sita do przesiewania mąki na chleb; na ścianie wisiały garnki, patelnie. Przez otwarte drzwi dojrzałem drugi pokój, służący za sypialnię.

Pastor nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Nosił skromniutki garnitur bez krawata; widać było, że to zwykły chłop. „To ci dopiero pastor” - myślałem sobie, gdy się przedstawiał. Myślałem, że lada chwila wyjmie swoją Biblię i zacznie mnie nawracać, ale on patrząc na mnie z wielką życzliwością rzekł:

- Wiesz już, co trzeba, o Słowie Bożym. Teraz trzeba ci tylko zbawienia. Jezus chce cię zbawić. Umarł na krzyżu, by zbawić twoją duszę.

Dalej mówił coś o „nowym narodzeniu”, którego dostępuje się przez wiarę w zbawczą krew Jezusa. Opowiedział też historię Nikodema, który

przyszedł zobaczyć się z Jezusem nocą. I powtórzył pod moim adresem słowa Mistrza:

- Ty jesteś nauczycielem Izraela, a tego nie wiesz?

„Nowe narodzenie... Gdybym tylko mógł się narodzić na nowo” - myślałem. - „Gdyby tylko zatrzeć bolesną przeszłość, wszystkie błędy, złudzenia, grzechy, cały brud i błoto, w jakim od lat tkwi moja dusza... Gdybym tylko mógł zacząć nowe życie, czyste w oczach Boga i ludzi. Gdybym tylko mógł się na nowo narodzić...”

Modlitwa wiary

- Musisz się na nowo narodzić - powtórzył ciepło wieśniak.

Nie wiedziałem, co odrzec, ale cieszyłem się, że zgadzam się z nim we wszystkim, co mówi z takim wielkim przekonaniem. Mówił prosto; w jego słowach nie było wyższości ani też śladu profesorskiej swady. Po chwili wstał i powiedział:

- Jeśli się zgodzisz, moglibyśmy się pomodlić, zanim się rozejdziemy. - Oczywiście - odparłem.

Ukląkł wznosząc ręce ku niebu i zamknąwszy oczy pogrążył się w modlitwie. Moje oczy były szeroko otwarte. Zaczął dziękować Bogu za to, że mogłem usłyszeć Ewangelię zbawienia. Prosił Boga, żeby oczyścił moje serce z wszelkiego grzechu i obmył mą duszę bezcenną krwią Jezusa, swego Syna Jednorodzonego, który umarł na krzyżu, aby zapłacić za me odkupienie. Modlił się jakiś czas. Klęczałem, zakłopotany, z pewnym dystansem słuchając go i uśmiechając się pod nosem, gdy wspomniał o mych grzechach. Jakie mógł mieć o tym pojęcie? Patrzyłem: miał wciąż zamknięte oczy i wznosił ku górze ręce w błagalnym geście. Cała jego sylwetka świadczyła o żarliwości modlitwy. Była to zaprawdę modlitwa wiary; jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak się modlił. A przecież właśnie to musiała być najautentyczniejsza modlitwa, w pełni zgodna ze słowami Jezusa, który przestrzegał przed mechanicznym wielomówstwem, a zachęcał do modlitw o potrzeby chwili. Cóż było w tej chwili potrzebniejsze niż zbawienie mojej duszy?

Życie wieczne w Jego Synu

Zamknąłem oczy i wzrokiem duszy ujrzałem całe swe życie. Wady, pychę, pożądliwość, obłudę, kłamstwa i wiele innych spraw; ujrzałem na sobie każdy możliwy grzech, byłem jak trędowaty pokryty ohydną przypadłością. Wystraszyłem się stanu swej duszy. Załamany, rozmyślałem, jak wyrwać się z tego straszego położenia, ze wszystkich moich grzechów. I przypomniały mi się słowa, które przed chwilą padły w modlitwie: „Krew Jezusa oczyszcza nas z wszelkiego grzechu”. Pojąłem, co to znaczy: być naprawdę wolnym. Oddałem się bez reszty w ręce Jezusa, Zbawcy, rozpaczliwie wyczekując Jego pomocy: „Panie, zmiłuj się nade mną, grzesznym. Zbaw moją duszę”. Doznawałem wielkiej rozterki. Widziałem swe dotychczasowe życie, przyjemności, zaszczyty, jakie ono daje; widziałem krewnych, przyjaciół i wszystkich, którzy mnie cenią. A z drugiej strony czekało życie nieznane i pełne trudu i wyrzeczeń. Lecz widziałem tam Jezusa, który wyczekuje mnie z otwartymi ramionami, gotów mnie przyjąć, dać nowe serce, nową duszę i nowe życie, pełne Jego łaski, pokoju i miłości. Pismo mówi: „A toć jest świadectwo, iż nam Bóg dał żywot wieczny; a ten żywot jest w Synu jego” (1J 5,11).

Zawierzyć Jezusowi

Poczułem, jak pokój napętnia mi serce. Pierwszy raz w życiu odczułem obecność Jezusa. Był tam z nami, w tej chłopskiej izbie. Uznał moją skruchę, wziął mnie do Siebie i przemówił do mnie. Jego głos brzmiał w mych uszach jak muzyka. Ukoił niepokój serca, a z umysłu znikła ciemność. Jego obecność była tak namacalna, iż zdawało mi się, że gdybym wyciągnął rękę, dotknąłbym Jego szaty.

To był On. Mój Pan i mój Mistrz. Jezus.

Brat Fulginiti zrozumiał, że dzieje się ze mną coś ważnego i że Pan odpowiedział na jego modlitwę. Objął mnie i rzekł:

- Pan dotknął twego serca. Uwierz tylko w Niego i nie odkładaj tego na później. Kto wie, czy otrzymasz następną okazję, by przyjąć Jego zaproszenie? Nieprzyjaciel zawsze będzie się starał powstrzymać cię od wejścia na drogę zbawienia.

- Bracie, postanowiłem służyć Panu na śmierć i życie - odparłem z oczyma pełnymi łez.

„Ale Chrystus odkupił nas z przeklęstwa zakonu, stawszy się za nas przeklęstwem, (albowiem napisane: Przeklęty każdy, który wisi na drzewie)” (Ga 3,13). Od czasu nawrócenia i odejścia od katolicyzmu miałem zaszczyt pracować jako pastor-misjonarz, ewangelista, a także założyciel i dyrektor radia „La Voce Della Speranza” (Głos Nadziei), nadającego za pośrednictwem wielu stacji w Stanach Zjednoczonych i Europie.

Guido Scalzi, nawrócony ksiądz



Świadectwo życia Guido Scalziego zatytułowane „My Encounter with God” („Moje spotkanie z Bogiem”)

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.